DZIŚ I JUTRO

DWUTYGODNIK DLA MŁODZIEŻY

ROK XIII POZNAŃ, 15 LISTOPADA 1936 NR. 5



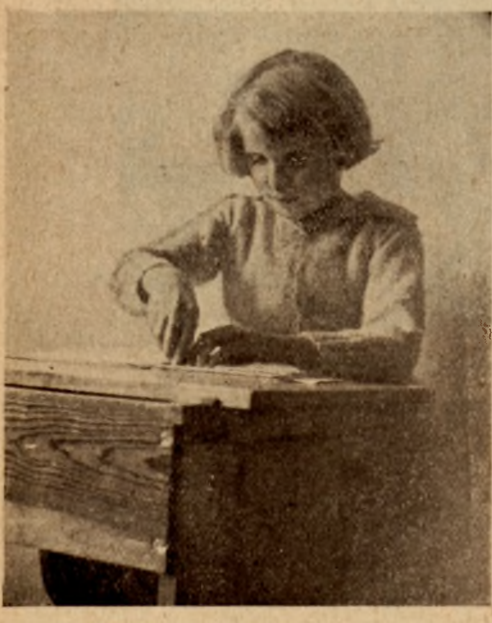
Dzieci, które nigdy nie widzą słońca . . .

Szkoła, w której czytają palcami

O kilkanaście kilometrów od Warszawy, w kierunku północno - zachodnim, na skraju puszczy Kampinowskiej, wśród lotnych piasków Mazowsza i ciemnych, jednostajnych sosen leży niewielkie osiedle. Nazywa się Laski-Różanna.

Mieszkają tam niewidomi. I całe to osiedle, to dom niewidomych. Stworzony dla nich.

Zajrzyjmy do przedszkola. Tu małe dzieci bawią się właśnie na korytarzu. Jasnowłosy Władzio wdrapał się na dużego drewnianego konia na biegunach i podskakuje na nim z zapałem, zupełnie tak samo, jakby to robił widzący chłopczyk w jego wieku. Mała Rózia tymczasem położyła się brzuszkiem na podłodze i pracowicie szuka wokoło rączkami rozsypanych kasztanów. Trwa to bardzo długo, bo kasztany właśnie pouciekały bardzo daleko, i małe rączki Rózi mają dużo roboty, żeby się dowiedzieć, gdzie naprawdę te kasztany się schowały, a potem zebrać je wszystkie razem w wielką kupkę.



Dziewczynka niewidoma pisze.

Grześ biega z kąta w kąt i obmacuje wszystko, aby znaleźć wreszcie piłkę, którą już dawno chce się bawić, a ona leży na samym środku pokoju. No, tak, ale Grześ o tem nic nie wie. Zadaniem przedszkola jest właśnie nauczenie niewidomego dziecka uważnego posługiwania się słuchem, dotykiem, by tymi zmysłami możliwie najbardziej zastąpić brak wzroku, uczynić dziecko zręcznym i zaradnym i w ten sposób przygotować je do szkoły.

Rozlega się dzwonek. To o piętro niżej w szkole skończyła się lekcja i dziewczynki z klas wybiegają na pauzę. Skorzystajmy z tego i zwiedźmy puste przez chwilę klasy. W oddziale III-im była lekcja polskiego. Jeszcze dotąd leżą na ławkach pootwierane grube książki, drukowane specjalnym wypukłym pismem niewidomych. Czytać je trzeba palcami. Obok metalowe tabliczki z rowkami i dłótka do pisania, zamiast ołówków i piór.

W oddziale V-ym będzie pewnie zaraz lekcja geografii, bo widzimy na stole przygotowane mapki Polski — wypukłe, aby je można było „obejrzeć" dokładnie palcami. W klasie VI-ej wisi na ścianie nawet cała kolekcja wypukłych map: Afryka, Azja, Australia, Ameryka Północna i Południowa, bo według programu wypadają przecież na ten oddział wszystkie pozaeuropejskie części świata.

A program w szkole powszechnej dla niewidomych jest zupełnie taki sam, jak w normalnej szkole — tylko sposoby uczenia są trochę odmienne — i inne pomoce naukowe.

W innej klasie było modelowanie. Na drewnianych deseczkach leżą jakieś delikatne kwiaty z wosku i stoją rzędem zwierzątka z plasteliny. To robota niewidomych uczennic z oddziału VII-go.

Dzwonek. Już zaczyna się lekcja. Przez uchylone drzwi jednej z klas słychać chóralną deklamację:
„Idą posępni,
a grają im dzwony
ze wszystkich kościołów,
a grają im dzwony
żałobne...“

To najstarszy oddział przygotowuje się do obchodu Święta Niepodległości w dniu 11-ym listopada i uczy się urywka z utworu Stanisława Wyspiańskiego p. t.: „Kazimierz Wielki“. Tymczasem z sali rekreacyjnej na dole dochodzą odgłosy miarowych kroków i klaskanie w ręce. Tam lekcja gimnastyki.



Czytanie.

A może teraz jeszcze chcecie zwiedzić w Laskach szkołę niewidomych chłopców? Niestety, nie zastaniecie ich wszystkich, bo właśnie starsze oddziały pojechały na wycieczkę do Wilanowa, tam zwiedzają park i oglądają — oczywiście zawsze tylko palcami — rozmaite piękne posągi i meble w dawnej, świetnej rezydencji króla Jana Sobieskiego i jego żony królowej Marysieńki.

Zwiedźmy wobec tego tymczasem warsztaty. W pracowni szczotkarskiej przy długim stole siedzą niewidome pracownice i wykańczają właśnie z pośpiechem zamówienie szczotek do czyszczenia koni. Wprawnie przeciągają drut z coraz to nowym pęczkiem włosia przez otwór w drewnianej podstawie szczotki, inne obcinają to włosie w celu zrównania ogromnymi, specjalnymi nożami, jeszcze inne szlifują i polerują drewniane części szczotki.

Wokoło na półkach, półeczkach i w koszach leżą najrozmaitsze rodzaje gotowych szczotek: szczotki do zamiatania, do szorowania, do ubrań, do obuwia, do kapeluszy, do włosów, do paznokci, do płyt gramofonowych itp. Wszystko to zostało wykonane przez niewidome uczennice warsztatu.

Przechodzimy do koszykarni. Tu oglądamy szafę, pełną misternie wyplecionych koszyczków do ciasta, do owoców, do widelców, noży i łyżek, tace, tacki, bombonierki, pudełka do robótek. To w pracowniach dziewcząt.

A w domu chłopców — wiklinowe walizy, kosze do bielizny, kosze do chleba, koszyki na rynek, taborety, krzesła, fotele, stoliki. Wokoło stoją wysokie pęki białej, korowanej już wikliny. To surowiec, z którego wykona-



Alfabet, książka, maszyna do pisania i tabliczka do pisania.

ne są przez niewidomych te wszystkie piękne i pożyteczne rzeczy.

Drzwi naprzeciw prowadzą do pracowni wycieraczek i mat kokosowych. Oto kilka nie wykończonych jeszcze widzimy w drewnianych ramach warsztatu. Gdy będą gotowe, miękko i cicho będzie się po nich chodziło, a i nogi nie zmarzną w zimie podczas pracy na posadzce z kamienia lub terrakoty, jeżeli zaściełamy ją taką matą.

Gdy niewidoma uczennica lub uczeń po ukończeniu szkoły powszechnej wyszkoli się jeszcze w jednym z tych warsztatów, ma fach w ręku i będzie mógł przy odpowiedniej pracowitości częściowo lub nawet całkowicie zarobić na swe utrzymanie. Brak wzroku nie stanie mu wówczas wcale na przeszkodzie — niewidomy może stać się zręcznym i umiejętnym pracownikiem i użytecznym, uczciwym członkiem społeczeństwa.

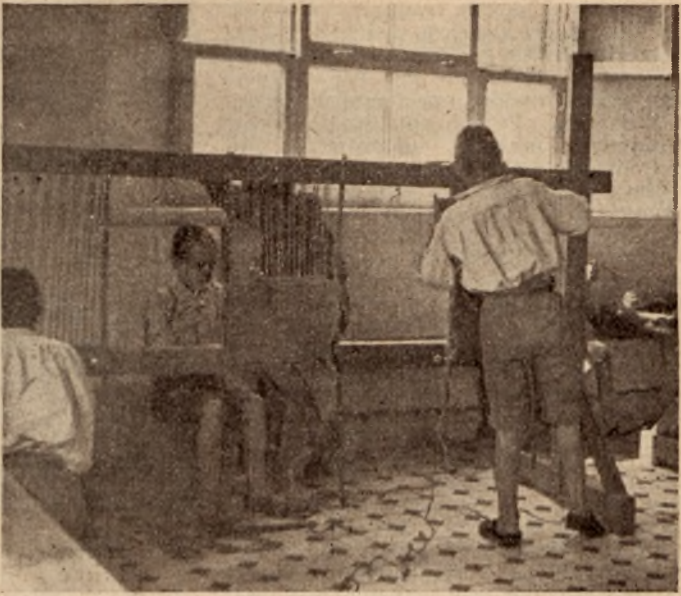
Lecz, gdyby nie było zakładów dla niewidomych ze szkołą specjalną i warsztatami? — strach nawet pomyśleć. Bo w większości wypadków niewidomy byłby skazany przez całe życie na nędzę i poniewierkę ostateczną, jako żebrak lub — co gorsze jeszcze — jakiś wydrwigrosz.

Marzenna Saryusz-Stokowska.

*

Zobaczmy pobieżnie, jak się przedstawia sprawa pomocy niewidomym w jej historycznym rozwoju.

W starożytności nie było w ogóle kwestii niewidomych. Pogarda dla kalectwa



Warsztaty chłopców: wyplatanie mat.

cechująca świat pogański, zaledwie przyznawała niewidomemu prawo do życia. Gdzieniegdzie nawet tępiono go, jako jednostkę bezużyteczną i zbędną; w najlepszym razie — nie dostrzegano jego istnienia.

Średniowiecze przynosi pod wpływem chrystianizmu uznanie wartości jednostki, poszanowanie duszy ludzkiej, ze względu na jej boski początek i boskie przeznaczenie. I w związku z tym właśnie niewidomy zyskuje w społeczeństwie ówczesnym pewne prawa do życia, a raczej do jałmużny, udzielanej mu dorywczo w przedsionku kościelnym, czy na gościńcu publicznym. O zorganizowanej opiece w znaczeniu nowoczesnym nie ma tu jeszcze mowy. I chociaż w późnym średniowieczu zjawiają się już schroniska, które dają niewidomemu pożywienie i dach nad głową, zapewniają mu one w ten sposób jedynie mniej lub więcej niefrasobliwą, a najczęściej bezcelową wegetację.

Sprawa niewidomych w jej nowoczesnym ujęciu zapoczątkowana została dopiero w końcu wieku XVIII przez Francuza Valentin Haüy, który pierwszy rozpoczął systematyczne i zbiorowe kształcenie niewidomych, zakładając dla nich szkołę w Paryżu. Inicjatywa jego, podjęta przez innych, doprowadziła do powstania szkół tego rodzaju we wszystkich krajach cywilizowanych, a genialny wynalazek niewidomego Francuza Ludwika Braille'a, wprowadzający do nauki niewidomych punktowy alfabet wypukły, pchnął tę naukę na zupełnie nowe tory.

Obecnie nie tylko w Europie, ale we wszystkich częściach świata: w Stanach Zjednoczonych, w Ameryce Południowej, Azji, Afryce i Australii istnieją szkoły, w których ociemniali pobierają naukę przy pomocy tego właśnie alfabetu.

W Polsce nienormalne warunki, których przyczyną była niewola, odbiły się na stanie szkolnictwa dla niewidomych. Polska, która w r. 1842 zdobyła się na pierwszą szkołę dla niewidomych, później nie mogła rozwinąć odpowiedniej działalności i w rezultacie kraj, posiadający dwadzieścia kilka tysięcy niewidomych, posiada 6 szkół tego typu, bardzo niestety pod względem ilości uczniów ubogich*). Brak uświadomienia społeczeństwa o możliwościach nauki niewidomych i związane z tym trudności przy werbowaniu dzieci do szkół, to główna przyczyna zła.

Na ogół w szkołach dla niewidomych i u nas i za granicą, obok wykształcenia ogólnego, daje się wychowankom i pewne przygotowanie zawodowe, przysposabiając ich do pracy w jednym z zawodów dostępnych dla niewidomych, jak muzyka,

*) Są to: Instytut Państwowy w Warszawie, Krajowy Instytut Ciemnych we Lwowie, Szkoła w Bydgoszczy, niedawno powstałe początkowe szkoły w Wilnie i Łodzi i Szkoła Towarzystwa Opieki nad Ociemniałymi w Laskach, jako jeden z zakładów tej instytucji.

stroicielstwo i pewne rodzaje rzemiosł, ale to kształcenie zarówno ogólne jak i zawodowe absolutnie nie wyczerpuje sprawy niewidomych, podobnie jak nie wyczerpywały jej schroniska, czy dorywczo udzielana jałmużna. Trzeba ponadto zapewnić niewidomemu możność zastosowania nabytych umiejętności; trzeba zorganizować warsztaty pracy dla rzemieślników, wyrobić rynki zbytu dla ich towarów, trzeba wynaleźć odpowiednie stanowiska dla niewidomych zdolnych do pracy w zawodach wyzwolonych, trzeba stworzyć dla nich biblioteki, służyć im wreszcie radą i pomocą, która dla każdego z nich winna być stosowana w odmienny sposób, zależnie od jego charakteru i warunków życia. Sama szkoła dla niewidomych będzie inicjatywą poniekąd chybioną, o ile nie uzupełni je instytucja dająca wszechstronną pomoc wychowankom w dalszym ich życiu.

Rozumiejąc tę potrzebę, ociemniały Francuz, Maurice de la Sizeranne stworzył już w r. 1883 Towarzystwo Opieki nad Niewidomymi im. Valentin Haüy, instytucję, mającą na celu zapewnienie niewidomym tej różnorodnej pomocy i obejmującą tym samym całokształt sprawy niewidomych. Na wzór tego dzieła, na całym świecie powstawać zaczęły instytucje tego typu, w Polsce jednak instytucji takiej nie było. Dopiero w r. 1910 z inicjatywy ociemniałej Róży Czackiej powstaje w Warszawie Towarzystwo Opieki nad Ociemniałymi dla celów ogólnych sprawy niewidomych w Polsce.

Jak się Towarzystwo rozwijało aż do dnia dzisiejszego, znajdziecie w bardzo ciekawej książeczce „U niewidomych", którą nabyć można w Warszawie, Plac Wolności 4 w Tow. Opieki nad Ociemniałymi. A radzę bardzo ją przeczytać!

— — — — — — — — —

„Mały Karol (niewidomy chłopiec) przyniósł Klarze poziomki. Ze szczęśliwym uśmiechem oddaje je w jej ręce i mówi:

— Proszę je zaraz zjeść. One są wszystkie dla ciebie. Przez całe przedpołudnie zbierałem je na zboczu leśnym.

Zielonkawe lub białawe, niedojrzałe jagody są w jej rękach. Tylko tu i tam czerwona jagódka jakby się zabłąkała.

Widzi, jak niecierpliwie czeka, aby usłyszeć szelest rozgniatanych w jej ustach jagód. Nie dam mu czekać!

Je kwaśne i cierpkie poziomki: najsłodsze poziomki na świecie.



Niewidomi chłopcy bawią się.

Nagle Karol pyta niepewnym głosem:

— Może są między nimi niedojrzałe? i powstrzymuje oddech, czeka na odpowiedź.

— Tak, Karolu — odpowiada żywo Klara, ale wszystkie są słodkie, te twoje poziomki, o, jakie słodkie.

*

L. Durdikowa: Dzieci o wygasłych oczach. Powieść, napisana stylem oryginalnym, głęboko ujęta pod względem psychologicznym, stawia przed nami świat nowy, nieznany: przeżycia dzieci niewidomych. Dzieci to subtelne, o wydelikaconym słuchu i węchu, w kompensacie utraconego wzroku.

Centralną postacią jest młoda dziewczyna, Klara: potrafiła ona zapomnieć o sobie i zrozumieć świat dla niej tak odległy, świat dzieci niewidomych. Potrafiła żyć ich życiem.

Autorka rzuca głębokie myśli o niesieniu w umiejętny sposób pomocy upośledzonym. Nie należy im dawać jałmużny litości, nie wolno dać im odczuć boleśnie kalectwa: „Trzeba torować im drogę przez cichą mowę serc — podać im szybkim ruchem ręce, aby nieść pomoc, ale ręce te podobne być muszą do skrzydeł anielskich."

M. Baranowska.
III kurs sem. 35. Rybnik.

Plac Saski
w przededniu powstania listopadowego

Plac Saski, miejsce codziennych parad i świetnych popisów, miał swą własną, krwią, łzami i goryczą pisaną kartę w dziejach Królestwa Kongresowego.

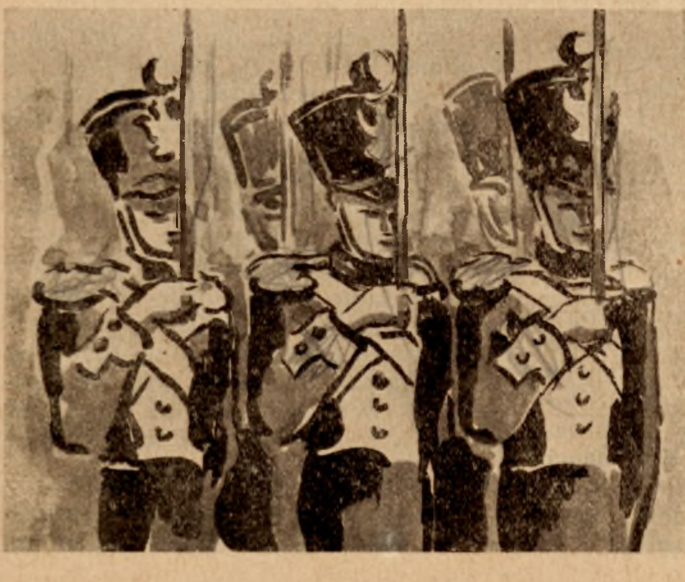
Na placu tym można było od jednego zamachu stracić szlify, krzyże, rangę, honor i sławę, a nawet zdrowie i życie. Wystarczyło przecież, by żołnierz miał nieznaczną plamkę na mundurze lub niedociągnięty rzemyk, żeby zbezcześcić dowódcę i złamać najpiękniejsze, pełne nadziei życie.

Stare wiarusy spod Austerlitz, Marengo musiały się tu uczyć całymi dniami, jak podnosić nogi pod kątem prostym, jak obciągnąć mundur, by otrzymać najcieńszą, prawdziwie panieńską talię. Za najmniejszą omyłkę w mustrze spadały z ust cesarzewicza gromy oburzenia i gniewu na cały pułk, na winowajcę zaś chłosta i areszt. Ileż to razy starzy napoleońscy oficerowie, stare lwy, gotowe z gołymi rękoma rzucić się na armaty, byli przed frontem łajani, lżeni i znieważani za jakieś drobne przewinienie żołnierza.

Cóż więc dziwnego że wszyscy niemal wybitniejsi oficerowie usunęli się ze służby. Tak wystąpili z szeregów generałowie: Kniaziewicz, Pac, Łubieński, Małachowski, Wielchorski. Sułkowski, Tyszkiewicz, pułkownicy Kozietulski, Kicki i wielu innych. — Nie mogła nagiąć się do tych drobiazgowych, kapralskich metod cesarzewicza i harda, rogata dusza Chłopickiego. Po burzliwej awanturze z wielkim księciem podał się do dymisji i mimo wstawiennictwa i namów samego cara, do wojska nie powrócił. Dumne jego słowa: „nie na placu Saskim ja swoją sławę zdobyłem, nie na placu Saskim ją stracę", rozniosły się lotem ptaka po całej Warszawie.

Pozostali w wojsku sami tylko t. zw. „sascy oficerowie".

Pomnąc tedy na tę rolę znienawidzonego placu Saskiego w życiu narodowym, postanowili przywódcy sprzysiężenia, by wybuch powstania nastąpił podczas parady, aby plac zniewag i hańby stał się miejscem triumfu i zwycięstwa. Na wybór miejsca wpłynęło i to również, że generał Chłopicki codzień był obecny na paradzie, młodzi zapaleńcy łudzili się więc, że w razie wybuchu obejmie on odrazu komendę nad wojskiem. Jego bowiem przeznaczali na wodza. Zwracały się na niego oczy całego narodu. Ta wyniosła, obojętna postać pociągała ku sobie wszystkich, niby



magnes. Lgnęły ku niemu poddańcze oczy młodzieży. Młodzi wojskowi nie bacząc na jego zwykły, cywilny surdut stawali przed nim na baczność, niby przed wodzem. Krążyło o nim tysiące opowieści, słowa jego przechodziły z ust do ust.

Wszystkie te oznaki czci nie trafiały jednak do szorstkiego, stwardniałego w bitwach i pochodach serca, nie ujmowały wyniosłej, pogardliwej duszy generała. Przeciwnie, te zapatrzone, lecące za nim spojrzenia, zamiast wzruszenia i wdzięczności, wzbudzały niecierpliwość i odrazę.

Nikt nie dbał mniej od niego o wziętość w narodzie, nikt nie ubiegał się mniej za popularnością.

Pomimo to jego szorstkość, porywczość, opryskliwość nawet, przykuwały ku niemu, zamiast odstraszać. Przypisywano je chęci lepszego zamaskowania istotnych uczuć i dążeń, ukrycia prawdziwej natury.

Otaczała go żywa legenda.

Imię jego stało się symbolem, sztandarem narodowym. Bez jego wiedzy, mimo, a nawet wbrew woli, złączono jego losy z losem ojczyzny, jego imię, z imieniem Polski. On zaś, chodząc w tej czci, niby w obłoku, odwracał oczy niechętny i gniewny.

Wybuch powstania oznaczono początkowo na 20 października. Później z powodu nieprzewidzianych przeszkód, musiano odwlec ten termin. Odwołanie nastąpiło zbyt późno. Wielu sprzysiężonych nie zdołano już zawiadomić. Przybyli oni na plac, wyczekujący naprózno, w najwyższym napięciu na umówione hasło.

Dzień był wilgotny, zimny. Pomimo to, wojsko stało już od dwóch godzin w szyku, oczekując na przybycie cesarzewicza. Piechota i jazda tworzyły dwa równe, stykające się ze sobą ramiona prostokąta. Po rogach ulic stali żandarmi na koniach. Konie i jeźdźcy, zastygli w bezruchu, mieli sztywność kamiennych posągów.



Przy barierach, otaczających plac dookoła, tłoczyła się publiczność. Od tego szarego, bezbarwnego tłumu odcinała się żywo wyniosła, żołnierska, a butna postać generała Chłopickiego. Siwe, gęste włosy rozsypane nad czołem, niby płowa, potężna grzywa lwa. Płonące oczy utkwione w dal. Rysy spokojne, twarde, jakby z marmuru wykute. Cała postać harda, a nieugięta. Sprzysiężonej młodzieży, wpatrzonej w niego z bezgranicznym uwielbieniem zdawało się, że na tym czole potężnym czyta myśl wielką, gromów pełną, a w oczach widzi uśpione pioruny. Na placu panował ruch.

Berajter ujeżdżał już ślicznego araba dla wielkiego księcia. Przed szere-

gami wojska przelatywał raz poraz jakiś oficer, sprawdzając, czy wszystko w porządku.

Nastała chwila oczekiwania.

Wszystkie oczy zwróciły się w stronę wylotu Mazowieckiej, skąd miał nadjechać wielki książę. Po chwili ukazała się czwórka rozpędzonych koni, zaprzężona w poręcz, a powożona przez brodatego kacapa, za nią zaś różnobarwne pióra, zdobiące kapelusz wielkiego księcia.

Cesarzewicz miał na sobie zwykły, tak zwany mały mundur kirasjerów gwardii wojska rosyjskiego, z generalskimi epoletami o sutych bulionach. Przez ramię zwieszały mu się srebrne akselbanty, które nosił jako pierwszy adiutant cesarza. Na piersiach błyszczały gwiazdy i ordery.

Wielki, barczysty, pochylony lekko na przód, w kapeluszu wsuniętym na prawe oko, wszedł szybkim krokiem na plac popisu, otoczony świetną świtą, błyszczącą od oznak i haftów, kapiącą od złota i srebra.

Ze zbliżeniem się wielkiego księcia zabrzmiał ogłuszający huk trąb, ryk kotłów i przeraźliwy pisk jańczarskiej muzyki.

Do wkraczającego na plac Konstantego poskoczył major placu, Franciszek Daszowski i odebrawszy od niego rozkazy, wsiadł na koń i wjechał na środek.

Pada komenda: „Prezentuj broń!"

Dobosze biją generał-marsza.

Wielki książę przebiega szybko przed wyciągniętymi liniami piechoty, a za nim pędzi jego różnobarwna świta. Kity, karabiny, głowy, nogi sprężonych szeregów tworzą jedną doskonałą całość. Najbystrzejsze oko nie dostrzegłoby skazy w linii.

Wielki książe sapnął z zadowolenia i rozluźnił nieco naprężone ramiona.

Zatrzymywał się przed każdym oddziałem, wyrzucając ze siebie chrapliwym głosem:

„Jak się macie chłopcy?"

Odpowiadał mu gromki, niezmienny okrzyk:

„Zdrowia życzymy Waszej cesarzewiczowsko-królewskiej Mości!"

Wtedy pędził dalej. Przechodząc szybko przed frontem przewiercał swym przenikliwym, badawczym wzrokiem każdy szereg, gotów podchwycić najdrobniejszą niedokładność, guzik nieprzyszyty, zbyt mało lśniące buty, lub jakąś zmarszczkę na niedość obciągniętym mundurze. Przeszedłszy przed frontem i między szeregami, stanął wielki książę nawprost batalionu.

Rozpoczynała się defilada.

Ludzie przestawali być ludźmi, zmieniali się w bezduszne manekiny, poruszane za pomocą ukrytych sprężyn. Z przedziwną, mechaniczną, matematyczną jednostajnością, maszerowały, łamały się szeregi, rozchodziły się i zlewały w jedną linię, wykonywały niezliczoną ilość obrotów, zmieniały krok zależnie od taktu, wybijanego przez wielkiego księcia na udzie, do którego stosowała się muzyka.

Był to istny balet.

Kiedy skończyły się wreszcie batalionowe obroty, wsiadł wielki książę na podanego sobie konia i pędem poleciał na środek placu.

Tam, wstrzymał konia, spojrzał wkoło, zwinął obie ręce, podniósł kułaki do ust i do złudzenia począł naśladować głos trąbki. Na ten widok wszyscy generałowie i cały towarzyszący mu sztab, jakby na komendę podnieśli zwinięte w trąbki ręce do ust.

Ozwali się trębacze.

Wielki książę klasnął w dłonie, wołając:

„Posyłki!"

Z każdego pułku jazdy, konsystującego w Warszawie, meldował się oficer, podoficer i żołnierz. Każdy podjeżdżał stępa lub pędem, zależnie od komendy, osadzał konia na kilka kroków przed królewskim bratem i wołał, salutując:

„Do W. C. K. M. z pułku N. N. na ordynans".

Konstanty mierzył koni i ludzi okiem znawcy i sapał głośno z zadowolenia.

Rozległ się drugi sygnał.

Pluton przykrócił cugle.

Padła komenda.

Rozpoczynała się druga część baletu — balet konny.

Konie wdzięczyły się, niby baletnice, wyginały z kokieterią połyskujące czystością szyje, podnosiły zgrabne nóżki. Furgotały na wietrze chorągiewki, połyskiwały lance, błyszczały jasne klingi pałaszy.

Cesarzewicz przechylał się na koniu, klepał się po udach, klaskał w dłonie i pogwizdywał z uciechy. Jego wielka, czerwona, nabita twarz promieniała dziecięcą niemal radością.

— Nu, tęgo, tęgo, sławno, dziękuję, bardzo dziękuję, nu, Tomickij, nu, generale, twoje ułany, twoja szlachta ułany! W rozkazie dziennym moje zadowolenie ogłosić, a szczególnie moim kochanym ułanom. Ot wojsko, ot w złote ramy takie wojsko oprawić.

Wszyscy odetchnęli z ulgą. Niewidzialny ciężar spadł im z piersi.

Parada minęła bez wypadku. — Cesarzewicz kierował się ku wyjściu.

Naraz tuż przy barierze ujrzał górującą nad tłumem, marsową postać generała Chłopickiego. Jakąś nagłą myślą tknięty podszedł doń i ująwszy go pod rękę począł się z nim przechadzać po placu.

Ustał wszelki ruch, zapanowała wielka cisza, każdy wytężył słuch. Muzyka, która poczęła już grać generałmarsza na pożegnanie, urwała nagle.

Uwieszony u ramienia generała rozwodził się cesarzewicz chytrze nad niepokojem i rozruchami, szerzącymi się jak zaraza, po całej Europie, wreszcie przystanął i, nie wypuszczając ręki Chłopickiego z uścisku, zapytał umyślnie podniesionym głosem:



Gen. Józef Chłopicki.

— Nu, generale, nie spodziewam się ja żadnych buntów, ale głupi, kto się nie ubezpiecza. Cóż tedy radziłbyś mi uczynić na wypadek jakiegoś... jakiegoś... — urwał, nie mogąc znaleźć odpowiedniego słowa, a bojąc się użyć zbyt poważnego wyrażenia.

A Chłopicki odpalił bez wahania swym grzmiącym, do huku dział podobnym głosem:

— Garnizon za miasto wyprowadzić, przeciąć wszystkie gościńce, nie dopuścić dowozu żywności, nie pozwolić na żadną komunikację z miasta na zewnątrz, w ten sposób zmusi się Warszawę do kapitulacji.

Cesarzewicz pochwycił jego dłonie i uścisnął je z wylaniem.

Dziękuję ci, dziękuję. Bóg zapłać za dobrą radę. Dobra rada, mądra rada, uczciwa.

Rozmowę tę słyszał cały sztab, słyszało ją zaklęte w bezruchu wojsko i ciemna masa tłumu, cisnącego się dokoła bariery.

Niejeden ze sprzysiężonych zapytywał się z wielkim zdumieniem w duszy, który z tych dwóch jest lepszym

aktorem, czy cesarzewicz, zwracający się z tym pytaniem, do człowieka, którego cały naród wskazywał na naczelnika wiszącego już w powietrzu powstania, czy Chłopicki, dając podobną odpowiedź...

Wanda Kieszkowska.

BALLADA O FRASSATI'M

Po Komunii św., — z plecakiem (do którego wsunął książeczkę),
Poszedł Frassati w życie — jak w wielką górską wycieczkę.
Patrzeli ludzie zdumieni, dziwili się ludzie prości,
Że tak, po cztery schody szedł do doskonałości,
A on się uśmiechał radośnie, żartował na lewo i prawo,
Jak turysta, co idzie w triumfie, a ludzie biją brawo.
Patrzeli pesymiści, jak gwiżdżąc, brał przeszkody
Cudowny chłopiec Frassati, turyński bohater młody.
Patrzeli ludzie zmęczeni, zwątpiali, z dna rozbicia,
Na jego bujną młodość, na jego radość życia.
Patrzeli egoiści, patrzeli w strasznej rozterce,
Jak on beztrosko drugim rozdaje młode serce.
Na bronz go opaliło gorące słońce Italii,
Frassati miał serce dziecka, muskuły miał z gibkiej stali.
Po własnym przeszedł sercu, gdy tędy wiodła droga,
Frassati, co po rycersku ukochał swego Boga.
Życie, co się dla innych w tragiczne supła sploty,
Prościło się w jego oczach jako gościniec złoty.
A w oczach tych miał wizję śniegów i gór i lawiny,
Więc niósł ją, jak skarb najdroższy, pomiędzy ludzi, w doliny.
Dusza mu drżała z zachwytu, młody się zapał korzył,
Że Bóg, Artysta wieczny tak cudnie wszystko stworzył.

— — — — — — — — — — — — — —

A gdy go Bóg zawołał, na świętej góry szczyty,
Uśmiechnął się Frassati, turysta znamienity.
Uśmiechnął się po swojemu, raz jeszcze się odwrócił,
Kolegom machnął dłonią, znak pożegnania rzucił,
Podpisał ostatnie kwity dla jakiejś chorej wdowy,
Polecił komuś biednych — i zaraz był gotowy.
Odszedł młody i piękny, pięknością celu przejęty,
Frassati, boży turysta, najcudowniejszy święty.

S. M. T.

SERCE I SŁOWO

Serce i słowo są jako dwa ptaki:
Jeden z nich orłem ulata ku górze,
Drugi, podobny ociężałej chmurze,
Nisko się wlecze — cień myśli wszelakiej.

Jeżeli słońce goreje pożarem,
Orzeł w świetlistych promieniach połyska.
A chmura ciężka, pochylona, niska,
Słońce i orła kryje swym obszarem.

Wiesław Pyrek.



„Dwudziestka“ pamięta o grobach Orląt . . .

Przyrzeczenia w obliczu lwowskich Orląt

Uwielbiam urok cmentarza. W pogodne rano jest rozsłoneczniony, radosny; w deszcz — majestatyczny i taki, jakby dopiero w tej chwili pochowano na nim tych wszystkich bohaterów. Bohaterów...! Jak dziwnie brzmi to słowo, to wielkie słowo, gdy wymawiając je, myślimy nie o rycerzach, zakutych w zbroje, ale o malcach, co to mniejsi od karabinów...

A jednak to byli bohaterzy.

Najcudowniejszy jest cmentarz w nocy. Raz byłam tam wtedy, gdy oprócz „nas“ nie było żywego ducha, ani jedno światło się nie paliło. Tylko latarka elektryczna oświetlała twarz modlącej się Krzyśki. A potem z ciemności wypłynął głos, mówiący o wielkości i chwale Orląt. Serce waliło mi, jakby piersi chciało rozsadzić.

Najchętniej chodzę na cmentarz w listopadzie. Byłam tam wczoraj. Na każdym grobie świeciły się lampiony, tworząc równe, długie szeregi. Nad czarnymi sylwetkami krzyży unosił się Majestat. Gdzieś zamajaczyły postacie dwóch malców. Jeden, rzucając światło na krzyż, szepnął: „Popatrz, ten miał tyle lat, co ja, zapalmy mu świecę“.

Czułam, że łzy mi napłynęły do oczu. Z przeciwnej strony zbliżała się do mnie ciemna postać kobiety-policjanta.

Światło zjednego grobu rzuciło na nią snop promieni. Wtedy na jej piersi zalśnił cudownie, zwykle szary, żelazny krzyż harcerski. Zdawało mi się, że to nie świeca na grobie, ale właśnie krzyż na jej piersi zawierał w sobie jakieś cudowne światło.

Nie jestem sama na cmentarzu. Czuję wokół siebie obecność moich najbliższych.

Za mną idzie moja drużyna w oczekiwaniu czegoś wielkiego, co się musi teraz stać.

Mam w sercu dumę i bezgraniczną radość.

Za chwilę nad grobami Orląt popłyną mocne, wielkie słowa przyrzeczenia.

Równo 18 lat temu Orlęta wyruszyły w bój o Lwów, o Ojczyznę. Dziś nasze młode, pełne zapału dusze rozpoczynają walkę o zwycięstwo dobra nad złem. Nasze metalowe krzyże harcerskie i te krzyże, które sterczą dumnie nad grobami Wielkich Ludzi, są symbolami miłości i poświęcenia.

Te z nas, które za chwilę przypną szary krzyż do swego munduru harcerskiego, rozumieją ten symbol. Ilekroć spojrzę nań, ilekroć przypomnę sobie czarne szeregi grobów i miejsce, gdzie składały przyrzeczenie — pod łukiem, wspartym na kolumnach, z napisem: „Mortui sunt, ut liberi vivamus“ — tylekroć w duszach ich odezwie się duma harcerki-Polki. Codzienną, wytrwałą walką będą zdobywać to, o co walczyli nasi poprzednicy i o co walczyć będą nasze dzieci.

Walczymy o wielkość Człowieka, walczymy o wielkość Polski. Nie spełniamy czynów rozgłośnych, o których piszą gazety. Kampanię naszą prowadzimy w szkole, na lekcjach, w domu i — w sobie samej. Dlatego nasz krzyż harcerski nie świeci z daleka swą wspaniałością; dla ob-

cych jest zwykłą odznaką, jaką się często u różnych ludzi spotyka; tylko dla nas, harcerek, krzyż jest symbolem rzeczy wielkich, jest świętością, którą się czci i głęboko w sercu nosi.

Jeśli wszystkie czujecie tak, jak ja, to podwójcie razem ze mną wysiłek, abyśmy pokazały, że krzyż nie jest — tylko odznaką; pokażmy, że nasza harcerskość jest prawdziwa i głęboka. Czuwajmy!

J. L. ze Lwowa, gimn. 643.

Mała solenizantka

Księżniczka Elżbieta skończyła 10 lat. To bardzo niewiele, szczególnie jak na kobietę, która jest, jak ją nazywa prasa angielska, „najważniejszą kobietą na świecie".

Księżniczka Elżbieta urodziła się bowiem córką księcia i księżny Yorku i jest dziedziczką angielskiego tronu królewskiego, przyszłą władczynią nad 400 milionami ludzi i nad jedną czwartą kuli ziemskiej.

Sprawa sukcesji tronu angielskiego wygląda bowiem w ten sposób, że póki król Edward VIII jest bezdzietny, dziedziczy po nim berło brat jego, ks. Yorku, po nim zaś jego najstarsze dziecko, obojętne — syn, czy córka.

Jakoś nic nie słychać o matrymonialnych zamiarach króla, księżna Elżbieta musi więc być przygotowaną na to, że z czasem zasiądzie na tronie angielskim.

Elżbieta - Aleksandra - Maria, córka księcia Yorku, jest, mimo swych 10 lat, najważniejszą, poza królem angielskim, osobistością w Wielkiej Brytanii. Jeżeli król Edward VIII nie będzie miał potomstwa, zajmie ona drugie miejsce w następstwie tronu, gdyż prawa sukcesyjne monarchii angielskiej dają jej pierwszeństwo przed jej stryjami, książętami Kentu i Gloucester. W ten sposób mała „Lilibeth" może zostać pewnej chwili królową Wielkiej Brytanii, Irlandii i dominiów za morzem. Nie należy jednak sądzić, aby ta przyszła wielkość ją oszałamiała, przeciwnie, przyszłe zaszczyty przyjmuje ona spokojnie, jak mała, grzeczna dziewczynka. Zgon Jerzego V, dziadka księżniczki, pogrążył ją w ciężkiej żałobie.

Gdy pewnego razu usłyszała, że wkrótce ojciec jej zacznie nosić tytuł księcia Kornwalii, spytała się nieco zamyślona:

— Czy będę go mogła w dalszym ciągu nazywać Daddy? — A gdy otrzymała odpowiedź potwierdzającą, upewniła się jeszcze:

— A będę mogła jeszcze bawić się lalkami?

Od pierwszych lat życia mała księżniczka odbywała liczne podróże między Londynem, a wspaniałymi rezydencjami królewskimi Sandrigham, Glamis Castle i Balmoral. Wcześnie też pokochała ona wieś i zawarła szczerą przyjaźń z różnymi zwierzętami i całą naturą. Najbliższymi jej powiernikami są dwa pieski Brownie i Blackie i kuc Rosie. Pierwszą przejażdżkę konną odbyła mała Lilibeth w czwartym roku życia, a po tej pierwszej lekcji ekwitacji nastąpiły dopiero lekcje czytania i języka angielskiego. Pewnego razu wybrała się księżniczka na swoim kucu na spacer i zamierzała przeskoczyć przez żywopłot, lecz sprytny kuc, wiedząc, jak wielką personę dźwiga na swym grzbiecie, sprzeciwił się zasadniczo wykonaniu skoku i księżniczka „przeleciała" głową naprzód przez żywopłot. Wtedy podnosząc się z ziemi i zauważając, że rozbite jej kolana krwawią, zdobyła się na powiedzenie, które cechuje jej energiczny charakter.

— To nic nie szkodzi, jeszcze niejedno będę musiała przeżyć!

Na imieniny otrzymuje ona tysiące listów i przesyłek ze wszystkich stron Zjednoczonego Królestwa. Nieraz na liście figuruje adres, skreślony nie-

wprawną ręką „princesse Elisabeth". Jedna z tych przesyłek, która zrobiła małej Elżbiecie najwięcej przyjemności, zawierała zrobioną z drzewa małą królikarnię. Prezent pochodził od hodowców królików australijskich, którzy w swej, nieraz ciężkiej pracy, dającej plon 7 milionów dzikich królików rocznie, wspominają często małą księżniczkę, jako symbol oddalonej ojczyzny. Nieraz otrzymuje też olbrzymie zabawki, zrobione z kartonu i będące prawdziwym dziełem sztuki. Mówią, że obdarowana tymi prezentami otwiera wszystkie przesyłki, zachwyca się przez chwilę zabawką, ale zwykle oddaje je swej młodszej siostrze księżniczce Małgorzacie Róży. W swoim pokoju rozdzielają one zabawki na dwie części: jedną z nich zatrzymują dla siebie, zresztą znacznie mniejszą, drugą przeznaczają dla biednych dziewczynek. Nie zdarzyło się nigdy, aby bratanica Edwarda VIII zapomniała o biednych dzieciach robotników kopalnianych, to też otrzymują one najwspanialsze dary, ofiarowane przez hinduskich maharadżów, potężnych lordów angielskich, czy też bogatych przemysłowców.

Dzień w dzień księżniczka Elżbieta z zainteresowaniem przygląda się zmianie Warty, odbywającej się na dziedzińcu pałacu królewskiego w Buckingham. Lecz jest się też czemu przyglądać! Najbardziej dorodni i rośli mężczyźni służą w gwardii, to też budzą oni zachwyt Elżbiety. W towarzystwie jednego szambelana, pełniącego służbę, przyszła królowa Anglii zwiedza często szpitale i ochronki, rozdając biednym liczne dary. Wracając do pałacu i kładąc się spać, zmęczona obowiązkami „reprezentacyjnymi", księżniczka przed zaśnięciem zwierza się swojej niani:

— Dlaczegóż na świecie jest tyle smutnych rzeczy?

Miłe to stworzenie bynajmniej nie przypomina dziedziczki wielkiego państwa, lecz jest pełna uroku, wesołości i figlów dziecięcych. Trzeba widzieć, jak księżniczka wobec tysięcznych widzów zamienia z jakimś wysoko postawionym dygnitarzem serdeczny uścisk dłoni, aby zdać sobie sprawę z jej osobistego uroku. Również, gdy bawi się domkiem lalek, będącym darem księstwa Walii, zdobywa ona serca starszych.

Wśród licznych anegdot, jakie krążą na temat małej księżniczki, warto wspomnieć o jednej. Otóż pewnego razu księżniczka stała w oknie swego pokoju, wychodzącego na Hyde Park Corner. Lodyński „bobby", siedząc na potężnym wierzchowcu, regulował ręką ruch uliczny. Księżniczka, poznawszy w nim swego „starego znajomego", poczęła dawać mu znaki ręką. Policjant chwilę się namyślał, czy podczas służby może odpowiedzieć na ten książęcy ukłon. Wkrótce doszedł do przekonania, że wypada jednak odkłonić się. Szoferzy, obserwujący bacznie ruchy policjanta, ukłon jego wzięli za sygnał porządkowy i wkrótce doszło do skotłowania aut i autobusów na ulicy, które przestraszony „bobby" musiał na gwałt naprawiać. Na szczęście całą scenę obserwował ojciec księżniczki, który polecił zatelefonować do Scotland Yardu z wytłumaczeniem zajścia, chcąc uchronić policjanta od przykrych konsekwencji służbowych.

W każdym razie dziesięcioletnią Elżbietę przygotowują sumiennie i gruntownie do noszenia korony królewskiej.

Przede wszystkim księżniczka wychowywana jest bardzo surowo, surowiej, niż większość chłopców i dziewcząt, nad którymi będzie kiedyś panowała. Nauczono ją już najważniejszego: poszanowania obowiązku. „Najpierw obowiązek — potem własna osoba" — tę zasadę wpoili w nią rodzice, gdy była jeszcze zupełnie małym dzieckiem.

Tymczasem ma okazję do sumiennego spełniania swych obowiązków

uczennicy. Jak każde dziecko, rozpoczyna o godz. 9,30 naukę, która trwa do 1—2; popołudnie ma wolne i spędza je, bawiąc się u siebie w domu, odbywając przejażdżki konne na białym koniku, albo czytając książki. Wieczorem odrabia lekcje.

Uczy się zwykłych przedmiotów szkolnych — gramatyki, ortografii, historii, arytmetki, geografii, francuskiego. Nie znosi arytmetyki, która jej najciężej idzie, przepada za geografią. Ma zdolności do języków, opanowała już francuski i orientuje się w gramatyce łacińskiej. Jest pojętna, uczy się łatwo i szybko.

Zupełnie, jak inne dziewczynki, otrzymała mały domek, w którym może z powagą i „na serio" bawić się w gospodynię. Różni się od innych dzieci tym, że nie chodzi do szkoły, tylko ma własną nauczycielkę. Odkłada za to zawsze sama na miejsce swoje zabawki, książki i ubrania, chociaż ma do dyspozycji pokojówkę i lokaja.

Są jednak godziny, w których mała Elżbieta przestaje być dobrze wychowaną córeczką bogatych rodziców, a staje się przyszłą królową Anglii. Dzieje się to wtedy, gdy specjalny nauczyciel wtajemnicza ją w zawiłe nauki ceremonii i etykiety dworskiej, kiedy inny znów profesor wprowadza ją — dziesięcioletnią dziewczynkę — w skomplikowane sprawy historii konstytucji i prawa konstytucyjnego.

Dzieje się to również wtedy, gdy każdego wieczora omawiane są z nią wypadki polityczne minionego dnia, wyjaśnianiane są tajniki polityki angielskiej, gdy w swej małej główce usiłuje zrozumieć zagmatwane, mgliste problemy dyplomacji i polityki światowej.

Poza tym — ale to już sprawia jej dużą przyjemność — musi uczyć się na pamięć swego niezwykle rozgałęzionego drzewa genealogicznego i rozwiązywać dynastyczne zagadki w rodzaju: jakie jest twoje pokrewieństwo z takim to a takim władcą europejskim? Albo: z takim to a takim królem Anglii, który żył w XVII w.?

Nie będzie jej za to chyba zazdrościć żadna rówieśniczka tego, że podczas wielu lekcji musi ona stać, by przyzwyczaić się do przyjmowania parad i rewii. Jednocześnie ks. Yorku życzy sobie, by córka jego potrafiła swobodnie zmięszać się z tłumem swych poddanych i surowo karci wszelkie jej próby wykorzystania swych książęcych przywilejów.

Przyzwyczajana jest już teraz do przyjmowania entuzjazmu tłumów w sposób naturalny — co wcale nie jest łatwe — i uczona jest, by mimo tych objawów miłości i oddania, pozostawała nadal skromną, prostą, naturalną, nie zepsutą.

Nie jest więc ani łatwo, ani nawet przyjemnie być wychowaną na królowę.

Trzeba rezygnować z beztroskich lat dzieciństwa, ze zwykłego dziecięcego szczęścia, z nie skrępowanej wolności małej kobietki bez obowiązków.

Mała, zapracowana, obładowywana niezwykle trudnymi dla jej wieku problemami, jest jednak następczynią i imienniczką wielkiej królowej Elżbiety, która stworzyła potęgę państwa angielskiego. Na słonecznym życiu dziesięcioletniego brzdąca, ciąży przyszła odpowiedzialność za losy Imperium Brytyjskiego.

Marzenna Saryusz-Stokowska.

Wśród książek

Walentyna Wiechowiczowa: Dziesięć polskich pieśni ludowych. Bibljoteka Inscenizacyj Rytmicznych Nr. 2. Cena 2,40 zł. Poznań 1936 „Ostoja".

Pierwszy tomik ma znaczenie podstawowe. Wyłożone w nim zostały najważniejsze, elementarne wiadomości z dziedziny inscenizacji rytmicznych, a więc sprawy takie, jak: materiał ruchowy, akompaniament, dekoracje, kostiumy i ogólne zasady reżyserowania tych inscenizacji. Tomik ten ilustrowany jest dwu-

dziestoma rysunkami i trzydziestoma fotografiami, które pokazują najważniejsze ruchy i ugrupowania zachodzące w inscenizacjach. Ponadto podany jest wzór i krój kostiumu. Bez znajomości tego tomika dalsze stają się niezrozumiałe.

Drugi tomik przynosi już gotowy materiał inscenizacyjny. Na początek autorka wybrała dziesięć ogólnie znanych polskich pieśni ludowych. Inscenizacja tych pieśni jest bardzo ładna, a przytem łatwa. Objaśnienia słowne oraz schematy i fotografie ułatwiają bardzo reżyserkom opanowanie materiału.

Inscenizacje rytmiczne powinny odegrać ważną rolę artystycznego wychowania dziewcząt. Stoją one wyżej od t. zw. pląsów i korowodów, bo są nieco od nich trudniejsze, ale za to wartość ich artystyczna i wychowawcza jest nieporównanie wyższa. Systematyczna praca w tej dziedzinie wyda niewątpliwie owoce, a będzie nią wniesienie wielu nowych i pięknych momentów do przedstawień, ognisk itp. imprez artystycznych.

Stanisław Wiechowicz: Koło mego ogródeczka, dziesięć polskich pieśni ludowych na śpiew i fortepian. Cena 4 zł. Poznań 1936. „Ostoja".

Wydawnictwo to ma dwojakie przeznaczenie. W pierwszym rzędzie pomyślane ono było, jako akompaniament do drugiego tomika BIR, o którym mowa powyżej.

Poza tym nuty te mogą służyć jako samodzielny zbiorek pieśni dla chórów. Układ jest łatwy, bo na chór unisono.

Od Redakcji

Praca, odznaczona na konkursie z N. 2: „Nowele o psie", ukaże się w N. 1. XII.

Wtedy również będzie ostateczne omówienie odpowiedzi na konkurs „Ulubione książki dziewczynek 10- i 12-letnich" — tymczasem zaznaczam, że dotychczas zdobyły punkty następujące czytelniczki: Morawska Kr. (2), Szczeniowska A. (1), Wieniska B. (1), Słotwińska M. (1), R. (1), Kawęcka (1), Zawrzyka (1), Chorążanka (2), P. T. (1), Weinerówna M. (1), Rozbierska Al. (1), Zasadzianka M. (2), Krysia G. (1), Paciorkiewicz N. (1).

Szkoda, że kilka odpowiedzi przyszło bardzo tajemniczo — nawet bez pierwszych liter autorki — komu potem punkty policzyć?

Kącik praktyczny

Tort „Pischinger"

Andruty 1 paczka. 25 dkg. masła. 25 dkg. cukru w mączce. 3 żółtka. 12 dkg. czekolady.

Masło należy ugnieść z żółtkami, dodać cukru i utartej czekolady; masą tą smarować andruty, następnie pokrajać torcik na kawałki.

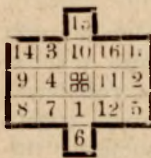
Ciastka migdałowe

10 dkg. masła. 4 dkg. cukru w mączce, tyleż migdałów zmielonych. 15 dkg. mąki. Śmietana do zarobienia oraz 2 dkg. cukru w mączce do posypania.

Masło należy utrzeć z cukrem, potem dodać migdałów, mąki i śmietany do zarobienia; wszystko razem ugnieść do odpowiedniej gęstości. Uformowane dowolnego kształtu ciastka upiec, posypać pudrem.

Łamigłówka

ułoż. Lusia. Gim. 668.



Figurę podzielić na 4 równe części, z których następnie złożyć magiczny kwadrat tak, żeby w każdym rzędzie pionowym i poziomym w sumie wypadała ta sama liczba 34.

Szarada sylabowa

Drugiej — trzeciej szukaj w ziemi,
A gdy **czwartą** ci się stanie,
Pierwszą — trzecią złotych polskich
Będziesz za nią mieć w zamianie.
Lecz się nie stań **pierwszym — czwartym,**
Bo to wielka jest przywara!...
Dość morałów! — **całość** smaczna
Pieczona, byle nie stara!

Warunki prenumeraty: rocznie 5 zł.
Numer pojedyńczy 30 gr.
Konto P. K. O. „Dziś i Jutro" 404 930.
Redaktor naczelny: Jadwiga Szarska, Warszawa, Łowicka 31.
Wydawca i red. odpow.: Jadwiga Bahr.
Adres redakcji:
Warszawa, Łowicka 31.

Czcionki i druk: Drukarnia Polska Spółka Akcyjna w Poznaniu, św. Marcin 70.